

Rozdział III

In vita mors certa est

Do ognia kulę się co wieczór
 Mamrocząc zmyślane w pośpiechu modlitwy.
 Boję się mroku i zgiełku gonitwy –
 Mało jest rzeczy, których bym nie przeczuł.
 Jestem – to starczy, żeby istniał świat,
 Wróżę ciśniętą w płomień korą
 I widzę w sobie Szał i Ład,
 Jak w lustrze ognia widzę Żar i Chłód –
 Więc wierzę w cud
 I prawdę proroctw.
Jacek Kaczmarek – Wojna

Od słońca, porażki, mrozu Windigo i twego gniewu zachowaj nas, królowo.
Element modlitwy equestriańskiej

Teraz:

Vapaus było szczególnym miastem. Przed wiekami powstało jako niezależne polis pegazich najemników, by następnie zamienić się w republikę kupiecką, dostać się pod wpływy Seleny i ostatecznie, po desperackiej próbie odzyskania niepodległości, przekształcono je w latającą twierdzę zakonu Polimarchii. Stanowiło jedyne miasto w całym kraju będące pod absolutną, kompletną i wyłączną kontrolą jednej z organizacji, działających w imieniu królowej wiecznej nocy.

Teraz jego kolejnym wyróżnikiem był brak zniszczeń.

– Garnizony w Noctis nie odpowiadają, mistrzu. Zwiadowcy nie donieśli jeszcze o stanie miasta, ale obawiamy się, że obrona mogła zawieść. Otrzymaliśmy przedtem raporty o co najmniej trzech pociskach z bronią masowego rażenia i kilkuset mniejszych, nadlatujących nad stolicę – młoda Shadowbolt zraportowała posłusznie wielkiemu mistrzowi zakonu Polimarchii, Strongbloodowi, po czym odbiegła w swoją stronę, by przekazać ponure wieści kolejnym oficerom i przełożonym.

W całym gmachu Pałacu Nocy, siedziby władz zakonnych, panował ogromny rozgardiasz. Nagły wybuch apokalipsy dookoła nich zaskoczył wszystkich, ledwo dając czas technikom i opiekunom latającego miasta, by nabrać wysokości w celu uniknięcia wrogich pocisków i ewentualnych skutków ubocznych wybuchów na powierzchni. Inne ośrodki miejskie nie miały takiego szczęścia.

– Licząc Noctis, poziom akceptowalnych strat wśród cywili według planu "Telos" został

przekroczony. Tamtejsze schrony mogły pomieścić najwyżej połowę lokalnej populacji, a wątpię, by aż tyle zdołało zbiec przy takim stopniu zaskoczenia. Wciąż nie mamy raportów z ponad połowy placówek, więc zniszczenia zapewne będą jeszcze wyższe – padł kolejny raport od strony biedzących się w przy dokumentach skrybów.

Co chwilę ktoś dostarczał kolejny plik wiadomości, dochodził do nowych wniosków albo zgłaszał możliwe utrudnienia w wykonaniu powierzonych Zakonowi rozkazów. Pośrodku tego wszystkiego siedział zaś wielki mistrz, w ciszy przetwarzając wszystkie informacje.

– Nie mamy wiadomości z Manehattanu. Wstępne szacunki, w oparciu o doniesienia z pobliskich posterunków, mówią nawet o kompletnej zagładzie populacji miasta.

– Księżę zakonny wysłał wreszcie wiadomość. Donosi, że ziemie księstwa nie ucierpiały bardziej, niż przewidziano. Ewakuację przeprowadzono na tyle szybko, że większość kryjówek i schronów wypełniła się w oczekiwanym stopniu.

– No to nadzieja, że przynajmniej hipogryfy trafi szlag, minęła... – skomentował ktoś złośliwym tonem ostatni raport.

Autonomiczne księstwo hipogryfów, efekt eksperymentów społecznych i rasowych Hierachii i Krytarchii, podlegało pełnej władzy wszystkich trzech zakonów (szczególnie Polimarchii, która, jako zakon wojenny, miała szkolić wojowników tego quasikraiku), nie cieszyło się jednak popularnością w żadnym z nich, cywile również za nim nie przepadali. Powód był prosty, w świetle praw eugenicznych rządzących w Królestwie gryfy były uznawane za nieco tylko lepsze (tak, by umieć korzystać z wychodka) od przeciętnych zwierząt, a wszelkie kontakty międzygatunkowe, pomijając te czysto wojenne (ograniczające się do wbijania sobie mieczy), były surowo zakazane. Hipogryfy, jako efekt krzyżowania gryfów z kucami, były w związku z tym dość rzadkim widokiem, przynajmniej do momentu gdy Selena uznała, że posiadanie po swojej stronie gatunku wykluwającego się z jajek, o dużo szybszym tempie rozrodu byłoby bardzo cenne dla wysiłku wojennego. Zakonnicy to rozumieli, ale na samą myśl o tym, w jaki sposób powstawała pierwsza generacja populacji Księstwa czuli obrzydzenie, które przenosili na same hipogryfy.

– Appleloosa stoi! Wszystkie pociski wystrzelone na miasto okazały się niecelne! Władzę w mieście przejęła inkwizycja! – padła nagle radosna nowina.

– Przy zakładanej przez nas obecnie populacji Królestwa, farmy w Appleloosie będą dla nas nieocenione w najbliższym czasie. Ave Selena! Wciąż nas strzeże! – podsumował szybko jeden z zakonnych urzędników.

Na krótką chwilę zapanowała radosna wrzawa, niepasująca do obecnej sytuacji. Stłoczeni w pomieszczeniu oficerowie śmiali się i gratulowali sobie, jakby co najmniej osobiście zestrzelili wszystkie czary, bomby i inne narzędzia śmierci, które wrogowie wycelowali w miasteczko znane jako spichlerz Equestrii.

– Detrot przetrwało! Baron Sky kontroluje miasto przy wsparciu swoich osobistych gwardzistów i swoich synów. Nie wiemy, co planuje, ale na razie nie wystąpił przeciwko królowej ani żadnemu z zakonów.

– Cholerny jebaka, ile on tych synów spłodził? Trzy, cztery tuziny? – tym razem wysoce niepochlebna opinia padła z ust jednego z mistrzów zakonnych.

Wielki mistrz spojrzał na niego z ukosa, ale nie skomentował nieparlamentarnego słownictwa, zwłaszcza że wyrażało ono opinię ogółu. Storm Sky był przedstawicielem znanego rodu, bardzo zasłużonego dla Królestwa, ale osobiście ciężko pracował, by pogorszyć swoją reputację zarówno w stolicy, jak i wśród pospółstwa. Korupcja, ekscesy seksualne, brutalność w stosunku do innych rodów... nie przysparzało mu to przyjaciół. Niestety, miał przy tym na tyle szczęścia, by wychodzić z korzyściami z większości afer. Gwardia jego bękartów, "niebieskoskrzydli", też nie cieszyła się dobrą opinią.

– Fillydelfia straciła połowę populacji. Nasze posterunki mówią o hordach bestii z Unii Sombryckiej, wlewających się w nasze granice. Wojska i polimarchowie stoczyli kilka bitew, z tego, co wiemy, to wszystkie na razie są wygrane.

– Aktywizacja sił antyrządowych w okolicach ruin Canterlot, według ostatnich wieści blokują oni ruchy wojsk w okolicy.

– Władza w Stalliongradzie przejęta przez zakony. Większość przemysłu wciąż jest nietknięta, chociaż ludność ucierpiała w wyniku bombardowania. Obecnie trwają walki z wojskami Sombrytów, chociaż z tego, co wiemy, to większość sił wroga skierowała się na Fillydelfię.

– Raporty z Królestwa Gryfów! Według najnowszych informacji, większość naszych ataków zakończyła się sukcesem. Te bękarty nie miały prawa tego przetrwać! Osiągnęliśmy kolejny krok w stronę czystego rasowo świata! – Po raz kolejny wybuchły wiwaty, tak bardzo niepasujące do ponurego nastroju chwili.

– Z terenów okupowanych przez diamentowe kundle dochodzą podobne wieści. To wielkie zwycięstwo naszego potężnego Imperium! – Okrzyki radości nasiliły się. Któryś z pegazów w pomieszczeniu wypadł z budynku, by ponieść radosną nowinę o wyginięciu diamentowych psów i gryfów pomiędzy mieszkańców latającego miasta. Kilkuminutowej euforii nie były w stanie zakłócić nawet doniesienia o kolejnych stratach wśród cywili w granicach Equestrii. Teraz liczył się tylko fakt zmiecienia z powierzchni globu, w ramach słusznej zemsty, dwóch przeklętych gatunków, które od wieków odmawiały oddania hołdu pani wiecznej nocy.

W powszechnym zamieszaniu ledwo zauważono, że do sali głównej wślizgnął się kolejny posłaniec, tym razem podchodząc do samego przywódcy zakonu.

– Wielki mistrzu? Udało się nawiązać kontakt z hierarchią Cadance. Żąda rozmowy z tobą.

Centrum komunikacyjne było niewielkim pomieszczeniem, w którym znajdowała się praktycznie tylko jedna warta uwagi rzecz – w samym środku brylowała skomplikowana magiczno-techniczna maszyneria, szczytowe osiągnięcie naukowców z Królestwa, pozwalająca na utrzymywanie stałej komunikacji między posiadaczami tego urządzenia. Był to najszybszy i najbezpieczniejszy sposób komunikacji w całym kraju, przez co wszystkie ważniejsze placówki posiadały przynajmniej jedną kopię tego urządzenia.

Nad kryształową sferą, stanowiącą serce urządzenia, unosił się niewyraźny, dwuwymiarowy obraz różowej pegazorożki w pełnym mundurze reprezentacyjnym inkwizycji i z opaską na oczach. Wydawała się być uśpiona, siedząc z głową zwieszoną na piersi, lecz gdy wielki mistrz podszedł wreszcie do aparatury, od razu się wyprostowała. Nawet brak oczu nie przeszkodził jej we wbiciu w nowoprzybyłego morderczego wzroku.

– Moi inkwizytorzy twierdzą, że jeden z twoich legionów oszalał. Niemal w całości. Wiesz coś o tym? – Nie dała mu nawet sekundy na przygotowanie. Pytanie było rzucone tonem chłodnym i wyniosłym niczym burza śnieżna.

– Em... Obawiam się, że dopiero otrzymujemy raporty i nie znamy jeszcze dokładnie sytuacji... – Wielkiego mistrza kompletnie zaskoczył tak nagły i niespodziewany atak.

– Legion “Lojalność”. Ten od duchów, trenowany w technikach szamańskich przechwyconych przez mój zakon w Zebrice. Tak jak wskazały wszystkie badania i testy, znajdowanie się w pobliżu terenów zniszczonych bombą dusz nie jest zalecane dla zdrowia psychicznego kuców, zdolnych do zaglądania do świata duchów. – Nacisk na słowo “mój” nie pozwalał na przypadkowe zapomnienie, z jak ważną osobą rozmawiał wielki mistrz. – Jako regentka Królestwa oczekuję, że zrobisz porządek ze swoimi żołnierzami – dodała jeszcze.

Dowódca Shadowbolts poczuł, jak na te słowa jego ciało przeszywają lodowate szpony lęku. Nie dlatego że obawiał się kary, ale dlatego że...

– Regentka? Czyżby nasza święta królowa... – Nie dokończył, nie było mu to dane. Cadance brutalnie przerwała mu wypowiedź.

– Kucu małej wiary! Seleną jest wieczna! – ledwo te słowa padły z ust obecnej władczyni Equestrii, Strongblood zrozumiał, że te kilka słów będą oznaczać dla niego wyrok śmierci. Czuł to, po prostu. Wykazał się niewiarą, a to gorzej niż zbrodnia. To grzech. – Gdy się rodziłyśmy, ona była już prastara. Gdy będziemy umierać, ona będzie trwała jeszcze przez tysiąclecia. Nie mamy wieści od niej, więc zgodnie z planem “Telos” przejęłam władzę w kraju i będę ją sprawowała, aż nasza bogini uzna za stosowne, by się nam ujawnić. Czy to jasne?

– Oczywiście. – Stary pegaz skłonił pokornie głowę, zastanawiając się, ile w tej sytuacji pożyje, zanim zostanie zastąpiony kimś wierniejszym.

Znał założenia planu, oczywiście, ale w tej sytuacji, gdy dookoła rozpętała się

apokalipsa, obawiał się najgorszego i teraz miał za to płacić. Wszystko rozpoczęło się dużo, dużo za szybko, według jego skromnej opinii, co jednak było tylko kolejną oznaką tego, że nie nadawał się do kierowania zakonem. Cadance, nawet mimo opaski zasłaniającej oczy, była w stanie zmierzyć go chłodnym spojrzeniem, od którego przeszły go dreszcze. Prawdopodobnie nawet sama królowa nie była w stanie wzbudzać takiego przerażenia jak różowa przywódczyni zakonu Hierarchii.

– Wymagam jak najszybszego rozwiązania problemu ze zbuntowanym legionem. Zakładam również, że będziecie w stanie zmusić Detrot i tego przeklętego barona, niezdającego sobie sprawy z upadku swojej zdegenerowanej kasty, do posłuszeństwa. Jak sobie zapewne DOSKONALE zdajesz sprawę, mój zakon, po przejściu pełnej i absolutnej władzy w państwie – wypowiedziała to lekkim i spokojnym tonem, zupełnie jakby nie mówiła właśnie o ostatecznym zakończeniu odwiecznej rywalizacji między wszystkimi trzema zakonami – ma wiele obowiązków i zadań. Oczywiście, jeśli Polimarchia i Shadowbolts okażą się niezdolni do rozwiązania tego problemu, zajmiemy się tym, a potem ustalimy, czemu zakon bojowy wykazał się tak rażącą nieskutecznością w okresie próby. – Wyobraźnię Strongblooda zalały wizje inkwizytorów przejmujących kontrolę nad jego miastem, wyniszczających wszystko, nad czym pracował i rzucający całą Polimarchię na kolana, prowadząc do eliminacji kolejnej przeszkody stojącej Cadance na drodze do pełnej dominacji w Equestrii. Alternatywą byłby tylko sprzeciw, co zakończyłoby się jednak na pewno wojną domową i dalszym osłabieniem kraju, któremu wielki mistrz przysiągł służyć.

– Jak rozkażesz, o pani. – Przyklęknął na jedną nogę. Przywódczyni Inkwizycji nawet nie drgnęła.

– Na razie Polimarchia sobie doskonale radzi – dodała niespodziewanie. – Zbieram wiele raportów z całego pogranicza mówiących o wielu aktach odwagi i umiejętności, dokonywanych przez twoich zakonników, będących w stanie odeprzeć nawet zmasowane ataki wroga i bezpiecznie ewakuować cywilów. Jeśli tak dalej pójdzie, to w wasze kopyta niechybnie wpadnie urząd strategosa. W końcu – na jej pyszczku zagościła sugestia uśmiechu. Z jakiegoś powodu było to jeszcze bardziej przerażające – służymy tej samej pani, czyż nie? Selena strzeże. Oczekuję codziennych raportów. – Zarys regentki zniknął, a samo urządzenie automatycznie się wyłączyło. Strongblood odczekał kilka sekund, po czym odważył się wreszcie wyprostować.

Kij i marchewka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że najpierw go nastraszone wizją upadku zakonu, a następnie zanęcono obietnicą zaszczytów. Zastanawiające było tylko to, że kuszone go wizją urzędu strategosa, który, tradycyjnie, przypadał wyłącznie szlachcie.

Wychodząc z centrum komunikacyjnego, był pogrążony w myślach. Pełna kontrola nad armią była zawsze przedmiotem sporu między wszystkimi trzema zakonami. Hierarchowie chcieli go dla wzmocnienia wpływów religijnych w armii, krytarchowie dla zwiększenia kontroli cywilnej nad żołnierzami, a polimarchowie... no cóż, bo sami byli zakonem militarnym i twierdzili, że to im powinna przyspaść ta rola. Cadance nie oferowałaby mu tej funkcji, gdyby nie była

przekonana że to absolutnie konieczne lub nagle przestało być to dla niej ważne. Obie wizje były równie nieprzyjemne, choć z różnych powodów. Na dodatek godziło to w szlachtę... Jakie były prawdziwe cele planu „Telos”? Czy na pewno tylko militarne?

Na razie wielki mistrz zmówił tylko krótką litanię do Seleny, po czym wrócił do pracy. Miał sporo na głowie i nie chciał marnować czasu na jałowe i niepotrzebne rozważania.

Eye Of Justice, żołnierz drugiego dywizjon legionu „Lojalność”, nie był pewien, gdzie się znajduje.

Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, był rozkaz wymarszu, a potem nagle znalazł się w jakiejś wiosce, zaś w jego głowie rozbrzmiewał ciągły wrzask. Z melancholijnym zdziwieniem zauważył, że nie są to krzyki wieśniaków – których krew plamiła właśnie jego kopyta – ani jego towarzyszy z innych legionów – którzy, z jakiegoś powodu, walczyli przeciwko nim. Było o wiele gorzej – krzyczały bowiem niezliczone zastępy duchów, które zagnieździły się w jego głowie, starając się wcisnąć jak najgłębiej ze strachu przed toczącą się apokalipsą.

Czuł się lekko i nawet całkiem spokojnie. Wszystkie jego problemy zniknęły, nie musiał się już troszczyć o trening czy rozkazy, wszystko wydawało się absolutnie niepotrzebne. Gdyby poświęcił temu uczuciu trochę przemyśleń, pewnie nawet nazwałby to „wyzwoleniem”.

Tak więc teraz, bez odrobiny refleksji, razem ze swoimi towarzyszami przebiegał się przez wioskę. Nie chciało mu się nawet liczyć ofiar, które za sobą pozostawiał. Na pewno było ich już kilkadziesiąt, z czego sporo żrebaków. Gdyby nie inni Shadowbolts, pewnie byłoby ich więcej, ale i tak – kierowany przez oszalały kolektyw dusz – był niemalże nie do powstrzymania.

Zawsze zdawał sobie sprawę z wagi życia pozagrobowego. Gdy jego rówieśnicy ćwiczyli walkę, on był ćwiczony przez swój legion w trudnej sztuce nawiązywania kontaktu z duchami zmarłych, korzystaniu z ich mocy i wsparcia. Było to z reguły dość trudne, bo większość dusz niechętnie kierowała się na ten świat, ale jemu się udawało. Teraz jednak, w jednej chwili, gdy wybuchły bomby dusz i cała zasłona między światem zmarłych i żywych spłonęła, nieodwracalnie burząc spokój duchów, do głów jego oraz wszystkich jego towarzyszy runęły naraz całe tysiące martwych jaźni, starających się w przerażeniu znaleźć sobie jakąś kryjówkę – a nie było lepszej od umysłu żywego kuca. Szkolenie, któremu go poddano, uczyniło z niego idealny azyl dla wszystkich dusz uciekających przed wieczną zagładą.

I gdyby tylko choć na chwilę przestały ociekać przerażeniem, to byłby pewnie nawet całkiem szczęśliwy...

– Jestem Aegis – przedstawił się uprzejmie kuc ziemny, prowadząc Harmony krętymi ścieżkami lasu.

Klacz, nie mając zbyt wielu innych możliwości, zdecydowała mu się na razie wierzyć, zwłaszcza że wspomniał o Celestii.

Pamiętała to imię, choć czuła się rozdarta, gdy o nim wspominała. Zdawało się jej, jakby zapomniała o czymś bardzo, ale to bardzo ważnym o niej i mimo że wysilała pamięć aż do bólu, to nie była w stanie przypomnieć sobie, o co chodzi. O coś bardzo ważnym.

– Księżniczka kazała nam cię odszukać w tym lesie za wszelką cenę, tuż przed tym jak prawie dopadli nas inkwizytorzy. Spotkałaś się z nią? – Zgrabnie przeskoczył nad leżącym pniakiem.

Harmony spróbowała zrobić to samo, ale jej ruchom brakowało płynności i gracji i o mały włos a wylądowałaby na własnym pysku. Tylko nagle rozłożenie skrzydeł, dla równowagi, ją przed tym uratowało... ale za to uderzyła jednym z nich o niewielkie drzewko. Zabolało, aż syknęła. Jej przewodnik zdawał się tego nie zauważyć.

– Celestia nie żyje – stwierdziła spokojnym tonem. Dopiero to sprowokowało jakąś reakcję, bo Aegis zatrzymał się i spojrzał na nią z szokiem.

– To przecież niemożliwe. Jest siostrą królowej, a królowa jest nieśmiertelna. Ona też powinna. Prawda? – Zrobił krok w jej stronę. – Alicorny są nieśmiertelne, są bogami, wiecznymi i niezwyciężonymi. To je odróżnia od pegazorożców, takich jak ty – oświadczył z mocą w głosie, zahaczając wręcz o fanatyzm. Uspokoił się nieco, gdy to z siebie wyrzucił. – Na pewno się pomyliłaś. W końcu jesteś kompletnie zielona – dokończył dużo spokojniejszym tonem. Harmony ze zdziwieniem obróciła głowę, by zobaczyć swoje ciało.

– Nie, jestem fioletowa – zauważyła z pytaniem w głosie.

Aegis przewrócił oczami.

– Nieważne.

* * *

Tymczasem Shadow Sky odczuwał narastającą irytację.

– Walcz z najlepszym... – warknął, tnąc kolejnego drzewnego wilka prosto w pysk.

Bestię wydawało się to ledwo na chwilę oszołomić, ale od razu poprawił kolejnym cięciem, odrąbując połowę jej pyska i, przynajmniej na chwilę wyłączając ją z walki. Nie miał jednak czasu na cieszenie się z tego drobnego zwycięstwa, bo od razu musiał odskoczyć, by uniknąć ataku kolejnego przedstawiciela sfory.

Gdyby w tym szalonym tańcu z wilkami miał choćby chwilę czasu, pewnie plułby sobie w brodę. Powinien szukać tej przeklętej, demonicznej Celestii, a nie bawić się ze zwierzakami, ale gdy odkrył całą sforę tych monstrów na drodze do jednej ze wsi, poczuł się zobowiązany, by spróbować je powstrzymać. Nie byli to bardzo wymagający przeciwnicy, ale dobrze się nadawali do terroryzowania cywili, a dopóki świat dookoła nie przestanie się rozpadać, to wolał nie zawierzać bezpieczeństwa wieśniaków byle żołnierzom. O ile jacyś przeżyli...

– ... Zdychaj jak każdy! – wrzasnął, wbijając krótki sztylet nakopytny w rozwarty pysk kolejnego basiora.

Było to ryzykowne posunięcie, bo gdyby spudłował albo wilk zdążył przed śmiercią zacisnąć szczęki, to byłoby po kopycie, ale w ten sposób był w stanie zabić każdego z nich jednym ciosem, uderzając prosto w ich zdegenerowany, powykrzywiany odpowiednik mózgu.

Chwilę później, dysząc ciężko, wyłonił się z lasu, idąc w stronę wioski, by móc sprawdzić tamtejszą sytuację. Zaklął głośno i bardzo, ale to bardzo szpetnie, gdy dostrzegł, że osada jest pełna Shadowbolts. I że wyrzynają się między sobą.

– Celestia kazała nam sprowadzić cię do naszej małej organizacji. Teraz idziemy do jednej z nas, Gravel, która powinna być w stanie znaleźć ci jakiś strój, by ukryć róg albo skrzydła. Nie możesz chodzić publicznie, pokazując to wszystko, wszystkie zakony od razu się na nas rzucą – wyjaśniał cierpliwie Aegis.

Przed chwilą zdołał jakimś cudem wyjaśnić Harmony znaczenie zwrotu „być zielonym”, a teraz postanowił wreszcie oświecić ją co do celu ich wędrówki.

– Zakony – powtórzyła. Zdążyła się już nauczyć, że jeśli czegoś nie rozumie, to wystarczy to powtórzyć, a od razu dostanie stosowne wyjaśnienie.

– Są trzy i wszystkie służą królowej. Hierarchia to kapłani i magowie, Polimarchia to żołnierze, Krytarchia to sędziowie, urzędnicy i... i wiele innych. Taki zakon do wszystkiego. Wszystkie są w pełni wierne królowej i jej naukom. Gdyby nie opór szlachty, to pewnie już by rządziły całym krajem. O, i dochodzimy. – Wreszcie drzewa stawały się coraz rzadsze, a za nimi zaczęły majaczyć się budynki. – W sumie nie powinienem mówić „Gravel”. Księżniczka nadała jej imię „Octavia”. Zresztą, ja też się kiedyś inaczej nazywałem. My, kuce ziemne z terenów wiejskich, nigdy nie mieliśmy zbyt dumnych imion...

I wtedy Harmony poczuła odór krwi. Zatrzymała się jak wryta.

– Ej, co jest? Już prawie jeste... o żesz słońce – zaklął Aegis, cofając się szybko o kilka kroków, gdy na ich oczach na dach stojącego tuż przy skraju lasu budynku wskoczył umundurowany pegaz. Nie tkwił tam za długo, bo niemalże od razu zaatakował go drugi, pikując w jego stronę ze sztyletem. Patrzyli w milczeniu na krótkie, acz brutalne i krwawe starcie, po którym ranny zwycięzca zeskoczył z dachu i zniknął im z oczu. – To może... lepiej obejźmy trochę i, tego, zobaczmy, co się dzieje – powiedział głuchym tonem, nie spuszczać wzroku z trupa poległego polimarchy. – Nigdy nie widziałem, by Shadowbolts walczyli między sobą... – dodał cicho, bardziej do siebie niż do Harmony, ostrożnie przechodząc od drzewa do drzewa, by zobaczyć, co kryje się za przesłaniającymi widok budynkami.

To, co zobaczyli, trudno było określić jako miłe. Wyglądało na to, że we wsi trwała właśnie rzeź, gdzie trudno było się rozeznąć, kto walczy przeciwko komu..

– To niemożliwe. To... to chyba nie kara za pomaganie Celestii? – zapytał ze zgrozą w głosie Aegis, patrząc, jak trójka oszalałych pegazów rzuca się na okulawioną klacz, która miała na tyle szczęścia, że jeszcze żyła, ale na tyle pecha, że nie zdążyła uciec. – Gdyby ktoś uciekał w las, to byśmy zauważyli, prawda? Widziałas kogoś? – Zerknął na Harmony.

Ta pokręciła głową, z fascynacją patrząc na to, co się przed nią działo. Szczególnie zadziwiła ją oglądanie, co kucyki mają w środku. Nie zdawała sobie sprawy, że pod kolorowymi powłokami jest tak... czerwono i mokro.

– To raczej nie kara, bo by nie walczyli między sobą... – dodał cicho.

– Nie. Poza tymi drewnianymi psami niczego nie widziałam. Hmmm. Takie rany się trudno leczy, prawda? – zapytała, wskazując kopytem na nieszczęsną klacz, by uzupełnić szczątkową wiedzę, jaką posiadała.

Aegis tylko spojrzał na nią z szokiem.

Kto by pomyślał, że niewinne pytanie może spowodować taką reakcję, pomyślała Harmony. Sam przyznawał, że "była zielona", to czemu się dziwił temu, że niezbyt pojmowała koncepcję umierania? Gdy zobaczyła ciało Celestii, to ta była już martwa, nic dziwnego, że cały proces przechodzenia z życia do śmierci nie był jej zbyt dobrze znany, a on wygląda, jakby go właśnie ciężko obrażała.

Nie czekali. Woleli nie znajdować się w pobliżu wioski pełnej oszalałych żołnierzy, mordujących siebie i cywili. Nie znali losu Gravel, ale mogli bezpiecznie założyć, że nie był on wiele weselszy od innych mieszkańców osady.

– Co robić, co robić... – mrucał do siebie nerwowym tonem Aegis, przedzierając się znowu przez las, przy każdym głośniejszym dźwięku wzdrygając się i rozglądając na boki, jakby zaraz coś miało na nich wyskoczyć i ich pożreć lub zadźgać. Co gorsza, jego paranoja miała bardzo solidne podstawy. Po kilku minutach marszu wreszcie się zatrzymał. Wioska już kompletnie zniknęła im z oczu. – Niech to słońce, nie wiem, co robić! Mieliśmy się spotkać z Gravel i to ona miała wiedzieć, co zrobić dalej. Ja miałem najwyżej robić za ochronę i przewodnika w lasach! – wyznał z rozpaczą w głosie Harmony, gdy ta stanęła obok niego. Poczula się nieco nieswojo od tego wyznania.

– Em, ja też nie wiem, gdzie powinniśmy iść – odpowiedziała szczerze, na wypadek gdyby kuc czegoś od niej oczekiwał. Zresztą, tak to wyglądało, bo gdy na nią patrzył, to w jego wzroku pojawiała się nadzieja. Od razu spochmurniał jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe.

– Pozostaje nam chyba tylko Canterlot. Nie znam żadnego innego miejsca, w którym moglibyśmy się ukryć... – Wyglądało na to, że po chwilowym załamaniu zaczyna się znowu brać w garść. – Tylko niezbyt wiem, którędy mamy iść. – Zerknął w stronę, z której przyszli, położył uszy po sobie i szybko się wyprostował. – Dojdziemy do najbliższej wioski i zapytamy o drogę. Jeśli uda nam się dotrzeć do jakiegoś większego miasta, choćby do Detroit, to stamtąd dotrzemy bez problemu do Canterlotu i innych członków naszej grupy.

– To w którą stronę najpierw? – zapytała Harmony, próbując sobie przypomnieć, czy cokolwiek wie o miejscach, o których mówił Aegis. Zdawało się jej, że jedna z tych nazw nasuwa jej jakieś skojarzenia.

– Najpierw odchodzimy jak najdalej od wioski. Przy odrobinie szczęścia za jakieś dwie godziny dotrzemy do Wheat, to kolejna osada, i stamtąd ruszymy do Detroit. Liczę, że tym razem nie napotkamy... – Znowu zerknął do tyłu, po czym bez słowa po prostu ruszył przed siebie. Klacz bezwiednie ruszyła za nim.

Nie była pewna, ile uszli, zanim stanęli na skraju jakiejs polany i Aegis znowu stanął jak wryty. Nie byli tu sami.

Trudno o większe zaskoczenie niż podziwianie na własne oczy walki pomiędzy dwoma legionami braci z zakonu Polimarchii. Może i nigdy się jakoś specjalnie nie kochali i często rywalizowali, ale żeby aż się mordować wzajemnie, i to w środku wojny? Tak jakby nie można było wyładować furii i żądz krwi na jakiś cywilach wroga...

Chwilę zajęło, zanim Shadow zdołał po cichu zdjąć jednego z walczących na uboczu żołnierzy, a potem jeszcze chwilę, zanim udało się go przekonać, by nie próbował go zabić. Niestety, uczynił to przy pomocy miecza, więc musiał ponownie znaleźć kogoś do przesłuchania. Szczęście się do niego ponownie uśmiechnęło, bo w jednej z chat wypatrzył

rannego shadowbolta, i to o wiele chętniejszego do rozmowy.

Już po chwili dowiedział się tego, co podejrzewał już od co najmniej kilku lat – że legion “Lojalność” to kompletne świry i, nie wiadomo czemu, zaczęli wyrzynać wieśniaków. Żołnierze z legionu “Młot” na szczęście byli na miejscu, by próbować ocalić mieszkańców. Łańcuch dowodzenia zdechł, próby nawiązania kontaktu z kimś orientującym się w sytuacji zawiodły i ostatecznie kilkadziesiąt doborowych wojowników Polimarchii utknęło w jakiejś zapadłej dziurze, walcząc z innymi, równie doborowymi żołnierzami, tylko szalonymi.

Żołnierz wyraził też nadzieję, że Shadow stanie z nimi do walki.

Sky przez chwilę nawet rozważał tę propozycję, ale przeważała jedna rzecz, o której wspomniał jego rozmówca – że obie jednostki znalazły się tu z powodu plotek o alicornie.

Celestia. Musiał ją dopaść. Czuł, że jego obowiązkiem jest zadbać, by odpowiedziała za swoje zbrodnie, i z każdą chwilą był coraz bliżej. Nie mógł marnować czasu na tego typu zabawy, zwłaszcza jeśli byli tu inni polimarchowie, którzy mogli ogarnąć sytuację za niego.

Pożegnany stertą przekleństw, opuścił chatę, a następnie wioskę, planując kierować się prosto do kolejnej najbliższej osady w nadziei, że będą tam coś wiedzieli o demonie, który usilnie starał się zniszczyć cały ich świat. Cały czas rozglądał się uważnie, na wypadek gdyby w lesie oddzielającym od siebie wioski wypatrzył coś interesującego – i okazało się, że miał sto procent racji.

Wylądował na jakiejś polanie, dobył miecza i, czując, jak zalewa go ulga, uklonił się teatralnie pegazorożcowi i jego towarzyszowi, którzy właśnie się wyłonili spod drzew i stanęli jak wryci na jego widok. Celestii z nimi nie było, ale rebeliant tak blisko miejsca jej rzekomego pobytu nie mógł tu być przypadkowo. Pegazorożec też nie.

– Aegis – zaczął serdecznym tonem, podchodząc bliżej zdrajcy i jego towarzysza. Albo raczej, jak dopiero teraz zauważył, towarzyszki. Niepokojąco znajomo wyglądającej... – Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. – Uśmiechnął się szeroko. Nie kłamał. Naprawdę odczuwał niewyobrażalną radość, że zbliżył się o krok do zniszczenia heretyckiej rebelii zagrażającej Equestrii.